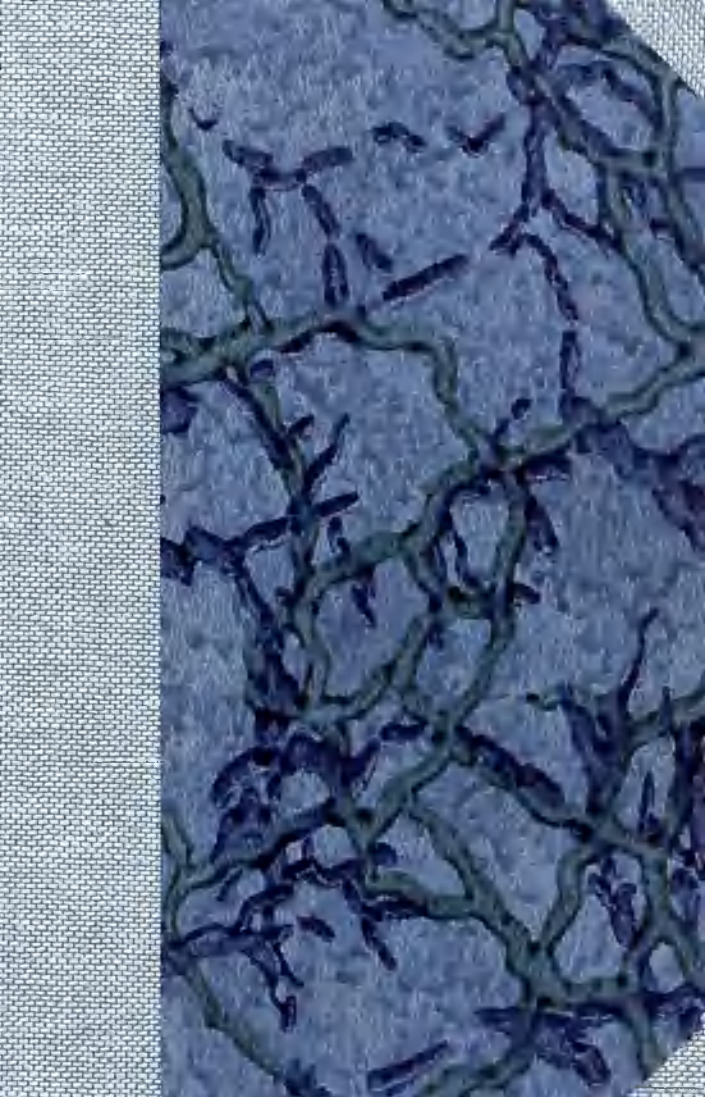
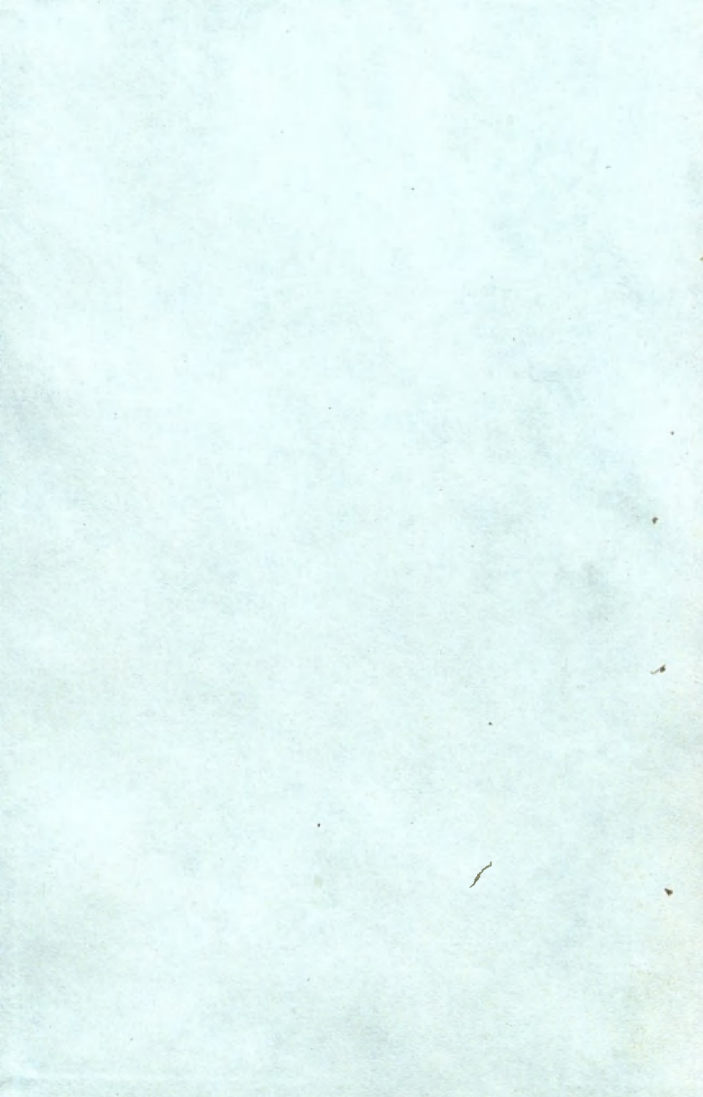








Bojki, **zmyślół i überzecowół**

niejakiś

A. Nachbar, rechtór.



Wydanie trzecie.



Verlag von **Hermann Mondro**
Inh. **Oskar Illing,**
Nikolai (O.-S.)



Bojki, **zmyślół i überzeczowół**

niejakiś

A. Nachbar, rechtór.



Wydanie trzecie.



Verlag von **Hermann Mondro**
Inh. **Oskar Illing,**
Nikolai (O.-S.)

X9L5c

135008

I

Jabtykoż i hahor.

W jednem srogim mieście, w Berlinie,
Przez ktero żyka głamboka tam płynie,
Kaj w wielkim ogrodzie są lwy a niedźwiedzie,
I hajzembana po ulicach już jedzie,
Kaj na telegrafach już listki furgają,
Szandarzi na złodziei pozór dowają,
Tam była jabtyka. To jest sklep nie mały,
Kaj się rozmaite lyki przedowały.
To kropki maciczne, to lukrecyje,
Też i kamelków, co wto potrzebuje!
Tam roz szpediter towory zlodawoł
I zaroz się też taki hahor einfindowoł,
I abladują, jak ino on może,
Hoć mu żoden człek tego nie koże.
Jak ón jest fertig, chce mieć zopłata,
Rzekli jabtykoż wroz do pana brata:
„Niech ci do tryngeld, wto cie najmowoł,
Dwa czeskie ci dóm, kiebyś się kontentowoł.
„Dwa czeskie, Panoczku? Niech je se showają!
„Pięć czeskich jo chca, jak mie ich nie dają,
„To niech se miarkują, bo jo ich naucza,
Jak jo ich kaj trefna, to kark im przewróca.“
„No no“ se padali „ino se statkujcie,
„Dzicie ich szandara? Sofort se pakujcie!
„Zapiskna na nich, zawrzą wos do wachy,
„Cóż mocie, haharze, potem z tej zachy?“
Hłop idzie dudom, po dródze se pado:

„Czekaj, ty sapramęcko łowado.“

W wieczór, jak ćma, do jabtyki wstępuje,
A se za czeski rajcherkercli kupuje.

Ta jedna jest krziwo, a stoć mu nie chciała,
Ino się poząd obalowała.

A coż ten hahor teraz hce robić?

On chce temu panu roz wynagrodzić!

W nocy, jak ludzie i dziecka już spali,

Wachteże już dawno dwanosto piskali,

Hłop zaszoł przed jabtyka i zwóni jak może,

Jabtykoż wyložł z łóżka i padoł: „O Boże,

„Wtóż też tak nieskoro się do mnie tu toczy?

„Jo ni móm pokoja, ni wednie, ni w nocy!“

Hłop padoł: „Niech raczą te okno otworzyć,

„A niech mi doradzą, co jo tu móm robić!

„Mie znają, jo kupił u nich reicherkercli,

„Ta jedna stoć niechce, jo zepsuł sztrajchelcli

„Hnet cało szkatułka i prosza o rada,

„Czy mi chcą zamienić ta krziwo łowada?“

Jak nasz pón jabtykorz hahara poznali,

Co mu po południu ten tryngeld nie dali,

Od złości się ledwo łozerwać nie chcieli.

Na tego hahara tak klyni, wreszczeli!

Tyn hahor, zaś se tak serdecznie lachowoł,

I padoł: „Dzisz, giździe, joch ci anstrajchowoł!“

Goliat i Dawid.

Jak żydzięta jeszcze w Palestynie mieszkali,
Co chwila z Filistrami wojna trzymali.
Roz zaś była bitwa, jak się tak przydało,
Kanonów, Cintnadłów sie wtedy nie miało!
Lecz szable i widły, i kosy, co ino.
Czym wojak mógł żgać, to do wojny się wzieno
Festungi jak w Koźlu, w Glocu i w Nysie,
To ci tam nie znali, mój drogi Hanysie!
Na polu tam stoli ci cudzy wojocy,
A wroz z tego logra tu wojok wyskoczy!
Faruna, toć sorón, mo ryjok jak świnią!
Pięć metrów on mierzy, ta ninadanina,
A szabla pięć fusów, a tyka mo w gości,
Na żydów boroków. To aż do litości.
Jak óń se zaryknał, tóż król z lajtmuntami
Od strachu ruszali swojemi portkami.
„Kto chce“, tak óń padoł, „z wos żydów wagować,
Do bitwy sie zemną tu roz einlassować?“
Jak żydzi słyszeli ten wrzask, się lękali,
Wrzeszczeli „ajwaj“ i od strachu żykali.
Tak wrzeszczoł trzi dni, bo miał pysk jak wrota.
Tu wroz wyskoczyła od żydów sierota.
Dawid mu było. Bez galot i bosy,
On szable też niemioł, ani widły i kosy.
To co on miał, było dobre sumienie,
W swej kabzie óń miał trzy ogrómnne kamienie.
Do króla zalecioł i padoł: „Waszności;
Ten gibas przeżywo, co aż do litości,

Niech raczą dozwoić, jo go sie nie boja,
Ta bitwa gewis z tem soróniem obstoja!“
I leci ten Dawid, a kamień mo w gości,
A się tam nie boi tej cudzej ludności.
Jak Goliat, tyn faroń, Dawida oboczył,
Z tej budy wojańskiej sofort on wyskoczył,
I padoł: „Pódź ino, ty djobli najduchu,
Dyć jo cię łozerwia na śmierć, kanalcuchu.“
Dawidek go szmarnął kamieniem z daleka
I trefił srogiego Goliata w paszczeka.
Sofort sie obalił, a tu wroz, ojeje!
Posoka się z nosa i pysku mu leje. —
I umarł, tyn kluba, a król się radowoł,
Naszego Dawida glühwajnem częstowoł
I padoł: „Wiesz co, tyś wert między nami“,
A Dawid sofort za lajtmunta obrany!

Hłop i banie!

Jeden chłop ze wsi, Wojtek mu się zwało,
Pod dębym se leży i kurzy fajfka śmiało!
Jak ón se tak leży, tak kurzy i ogląduje,
To na jednym płocie banie erblikuje.
„Farona“ se padoł, „tyn szpas by był nie mały,
„Kieby te banie na tem dembie wisiały!
„To przeca jest gałęź! To ni jest einrichtunek!
„Niech ten kierz nosi choć z kopa dębionek.“

W tem zasnął pod dębem, jak niedźwiedź ón hrapi,
Że strach aż jednego straszenie obłapi!
Tu wroz wiatr dębiónki zciepuje,
Hłop dostał w nos i sofort erwachuje.
Sie hycił za nos, ale tu ojeje
Krew mu się z nosa jak z plumpy tak leje!
„Pieruna“, se padoł, „kieby były banie,
„To ferbaj z nosem; niech tak zostanie,
„Jak se to Pón Bóg nasz sóm einrichtował,
„Jo już nigdy nie banda ferbeserował!“

Ten Kampf z tem drachem

od Szillera zmyślony, a na polskie od
Nachbara überzecowany.

Cóż ludzie dziś ciągną po całej ulicy?
Cóż się tak cisną, ci sapramętnicy?
Czy jarmak, czy odpust, czy jest kumedyo?
Czy łogień dziś w mieście? Czy rewolucyo?
A cóż ci tak wreszcza, a tak se rajcuja?
Na tego wojoka tak palcem cajguja,
Co tam na tem siwem ferdoku rajtuje,
Jak pon se paradzi, i se oglunduje!
A za nim co smyczą, Jezusie Maryo!
Cóż też to za zwieża, cóż też za bestyo?
Mo oczy jak przetak i pysk tak jak wrota.
A ogón 6 metrów! Ta djoblo niecnota.
Pazury jak kozak. To nie do możności.

Doli Bóg, jo bych tego nie wzión do gości.
A ludzie wołają z całego ich garła:
„Dzicie ją bestyjo, ta co nóm zeżarła
„Tych cieląt, jałówek i gansi tak wiele,
„A człeka jednego hnet każdo niedziela!
„To są tam ten panic, co oni zabili
„Te djobli nosienie, a nos wybawili.
„Już mocki wojoków, co też wagowali,
„Do bitwy z tem smokim się też już zabrali,
„Lecz wszystkich zeżarła ta dziko gadzina,
„Aż panic zabili ta nienadanina!“
Przed klosztór ci smyczą ta ciężko mamuna,
Kaj tam ci wojocy z onego zakona
Od świętego Jóna tam wszyscy mieszkają
A już na tych ludzi przed sienią czekają.
Tu wroz nasz wojoczek ze siwka skakuje,
A przed najwyższego z tych panów tretuje.
Jak Boga pochwolił, ón padół: „Przeboczą,
„Joch zabił ta marcha, niech ją se łoboczą!
„Tu leży jak byk ta nieżywo niecnota,
„To była panoczku, djobelsko robota.
„Bo wiecie, to też lecy wto nie waguje,
„Ten gizd, ón tych ludzi z daleka już czuje,
„A potem wyfuknie, kaj mieszko z tej dziury
„I człeka łoztargo z kości i z skóry.
„Lecz teraz, to droga jest frajno na wieki,
„Niech każdy rajzuje we świat se daleki!“
Tu wroz ten nojwyższy swój głos erhebuje
Do tego młodzieńca ón tak antwortuje:
„Ty przeca wiesz, że jo ci dziś befelowoł.
„Żebyś ty do bitwy się nie einlasowoł.

„Hoć z ciebie jest karlus, jak niema ich wiela,
 „Lecz żeś ty nie słuchał mojego befela,
 „Na fleku się pakuj tu z tego klasztora,
 „Ja nie potrzebuja tu tako potwora.
 „Ale już, to ci padóm, już, ciś mi prańdziučku
 „A seblycz mi ta uniforma biolučko.“
 Jak ludzie te słowa wroz byli słyszeli,
 Od złości ten klosztór podpolic już hcieli,
 „To można“ padali „za swoja robota,
 „Niech se to miarkują, bo to aż sromota.“
 Lecz wroz ten najwyższy swe czoło faltuje
 A nogą se tómpnął i: „cicho“ skazuje!
 A teraz młodzieniec ón padoł: „Słuchejcie,
 „A choć na hwileczka mi pozór dowejcie!
 „Jak jo to usłyszoł, że ta kanalio
 „Też ludzi zeżyro, a że procesyo,
 „Co dziś szła na odpust, też pokój nie miała,
 „Bo zaś ta mamuna trzy baby zdusiła,
 „Te moje sumienie, te tak mie mierziało,
 „Że jodło durchaus mi smakować nie hciało,
 „A jo bezslisowoł, jo musza ją zabić,
 „Z nieszczęście tych ludzi tu naszych wybawić.“
 I wzión ech se siwka z masztalnie i dali
 Rajtuja do lasa, bo wieczór się wali.
 Jak se tak rajtuja i szablą móm w ręce,
 Toch naroz przyjechoł ku tej bożej męce.
 Tu pod jednym dębem, faruna, o jeje
 Ogrómnie ogóńem coś gmyro i chwieje.
 A richtig, tam już ta gadzina leżała,
 A już zaś na ludzi boroków czekała
 Te ślypska, to się już błyszczły z daleka.

A już tu łożdziera se na mnie paszczeka.
Jak jo to był widzioł z siwka skakuja
I na tego gizda też zaroz drabuja.
Jak też ta bestyjo wroz szabla widziała
Już na mnie wyskokła, a tak zaryczała,
A świtła mie nogą, zech jo się obalił,
I do galot od strachu sofort ech nawalił.
Lecz jo moją szablą go sztuchnył w bachory
„Niech zdechną,“ jo padoł, „tak wszystkie
potwory.“

Na fleku żołądek mu wyložł i flaki,
Bo tego jo chcioł, bo jo to jest taki!
Jak zdechła, jo drabem do miasta rajtowoł,
Z radości ten szpas zaroz ludziom meldowoł
A ci z uciechy mie zaroz chwolili,
I tego najducha im tu zasmyczyli.
Jak wroz ten nojwyższy ten szpas fernemuje,
Za kark go obłapio i fest go całuje.
Przynieście, padali, gorzołki i wina
I wursztów i żymeł i róbcie gościna.
Bo wiecie, doli Bóg, to jest kanalio.
I doł mu sto twardych i złoto medalio.

Józek w mieście.

Tatulku kochany, oddychnąć mi deście,
 Bo jo dziś był w mieście, a to nie jest szpas.
 A co jo tam widzioł, mie jeno słuchecie,
 Już klacza mo futer i mocie też czas.
 Mamulka dziś w mieście prosięta przedali,
 Pieniędzy na kiermasz, wy wiecie, im trza,
 Tóż mie też ze sobą na furze zabrali,
 Cobych te prosięta jo trzymał, te dwa.
 Kroć djablów, toć wierzo, toć kościół wysoki!
 Faruna, ten piękny. A taki mo dach,
 On styknie, jo myśla, chnet aż pod obłoki,
 Lecz wleść tam do niego to bych jo mioł strach.
 Ta wieżo, ta siągnie ku Bogu samemu,
 Że aże uciecha w tem mieście tu żyć.
 Ta nasza tu we wsi to psidrek ku temu,
 A wewnątrz ón wyższy, jo słyszol, mo być.
 Hałupy jak zómki durchweg wyglądają,
 A takie są wielkie, jo zelgać niechca,
 Jak zómek nasz we wsi. Gewiss tam mieszkają
 Inspektór z folwarku choć jeden lub dwa.
 W tych wielkich chałupach tak małe są wrota,
 Zech jo się zadziwił, i myśloł: „ferbaj“,
 „Nasz byk by nie przelożł, ta spaśno niecnota.
 „Rechtorczyk nasz we wsi, ja ten eins, zwei drei.
 A coch tam nie widzioł, zogródki i łąki,
 Kaj wdycki z chmotrowem Hanysem, my dwa
 Koždy dzień po szkole zašli na płonki,
 A sę tam natrzęśli, jak wiela nóm trza,

Kolasy w tem mieście! Tatulku im padóm,
Są wszystkie ze złota i strzybła i szkła
A po tych ulicach kalópem tak jada,
Że poząd z drogi wychodzić im trza
Lecz, co nie jest fajnie i co nie pasuje,
Ten pón, co ten pozłocany mo frak.
Na przodku se siedzi i fest kuczeruje.
Pacholek se siedzi na zadku jak flak.
Tam ludzi pełniučko po całej ulicy.
A tak ci tam skrzeczą! Mój Boże, toć świat.
Tak mię tam sztuchali ci sapramętnicy,
A jeden z haharów mi porwoł mój bat.
W gasthauzie z mamulką jo też był na rynku.
Tam ludzi, jak kieby tam kiermasz dziś był.
Sie zmieścić nie mógli w tem srogim budynku,
A każdy co chcioł, to se jodoł i pił.
Słuchejcie, Tatulku, tu mój erklerunek.
Kieby jo w tem mieście, w tem fajnem mioł żyć
Niech djobli mie wezną, jo s . . ł na bildunek,
Tu na wsi jest piękni, tu zawdy chca być,
Jo smolił tych panów, tych fajnych haharów!
Kaj żoden bez bótów, a każdy mo frak.
A kieby mie wto doł 300 talarów;
Bez galot se lotać, to tak jest mój smak!

Pies i kot.

Wy wszyscy, wy wiecie, że psy i też koty
Sie zgodzić nie mogą ani jednej minuty.
Czy w sieni, czy w placu, kaj się też potkają,
Na fleku te gizdy się gryzą, dropają,
A przy tem tak wrzeszczą, tak kwiczą, piskają
Że ludzie sie części za uszy trzymają.
Jeden pón se trzymał mopslika małego
I kota biołego. Cóż komu do tego.
Jak ci się roz gryzły, do pana wstąpili,
I jeden jak drugi panowi skarżyli.
„Panoczku, im padom, mie pies ugryzł w noga.“
„Niech nie słuchają, jo zato nie moga.“
„Bo kotka mi cały pysk łostargała,
„Że posoka mi się, jak mógła, tak loła!“
„Ja, mopslik to w kuchni ón zeżarł pieczonka.“
„A kotka w pywnicy wysłępała śmietonka!“
Panoczek, jak oni to byli słyszeli,
Sie bardzo zgorszyli i drabem lecieli
Do kóna po kryka, a jak ją chycili
Do ranki, to óni te marchy tak bili,
Tak wzieni łobkłodać, aż strzympy leciały,
Aż te mamuny jak myszy piszczały.
„Wy djobły“ padali, „jo wóm ansztrajchuja.
„Jak jo taki szpas jeszcze roz erlebuja,
„Farona kandego! Jo wóm kości złomja w brzuchu.
„A do psa padali: „Do budy, najduchu!“
„Bo jo wiem, żeście wy są wszyscy jednacy,
„Wy saprymęccy złodzieje jacy!“

Jak się teraz dwa ludzie nie mogą lajdować,
Ino się požąd chcą belajdigować,
To ludzie padają od tejże minuty,
Że żyją społą jak psy i koty. —

Jak jednemu idzie, jak się z kómratem ożere.

Roz rano przed kaczma się zešli dwaj hmotrowie,
Bardzo se przoli i byli frajndowie.
Hanyś temu jednemu się zwało,
Jantón drugiemu. Jo padóm se śmiało.
Jak ci się zešli, sofort sie witali,
Bo óni se przoli. Słuchajcie, mie dali,
„Jak sie moż,” ten padoł, „jak Ci się powodzi?”
„Forzüglich,” ten padoł, „wszystko się rodzi”
„Ocielila mi sie krasiato jałówka,
„Te ciela jest fajne. Tak bjoło mo główka,
„Hoć z cztery twarde dostana za nie,
„Bo to jest byk, to nie na chowanie.
„Kartofle, kapusta, to wszystko jest tónie,
„Zboża móm chnet pełne sypanie,
„Ta moja jest zdrowo, tam nie ferlanguja
„Więcej nic, ino się z tym kóntentuja.”
„Jest richtig,” wzión Jantón se tak antwortować.
„Jo się tam też nie moga beklagować”,

„Czasy fajniutkie, jo niechca nic więcej,
„Ani fynik, ani ogónek ciełęcy!“
„Wiesz co“ padoł Hanys, „my se wypijemy
„Hoć aby za czeski. Tam nie zabawiemy.“
„Is gut“ padoł Jantón, „nie móm czeski ze sobą,
„Lecz na bórg dostana za każdym spusobym.“
Jak skoro do karczmy wstąpili do sieni,
Sofort też gozółką częstować się wzieni.
I Hanys ón padoł: „Joch tego nie wiedziół
„Toch się z tych polskich zeitungów dowiedziół.
„Joch czytoł, w Paryżu do kulki dmuchają,
„Sie chyca, a potem do luftu furgają.
„W te błozny nie wierza, bo to nie jest prawie.“
„Jak się ta kulka do wierchu dostanie?“
„Króm szpasu,“ wzion Jantón se tak antwortować,
„To się zwie lóftbalón, to idzie einrichtować.“
„Jo zaś czytoł, że przywiążą łopołka.
„A doni siadaju, i jadą do wysoka.“
„Jo czytoł wörtlich, się tej kulki chytają,
„Ja psidrek ten padoł, do łopołki siadają
„Ty trómbo“ wzion Hanys se tak antwortować,
„To idź do Paryża, sie überzeigować.“
„Co, trómbo,“ i smarzał boroka,
Że posoka mu ciekła i postawił koziółka.
A teraz karlusi za kark się chycili,
Już byli ożarci, i się obalili.
A wzieni się targać i dropać jak koty,
A ludzie padały! „Co to za niecnoty.“
Tu wroz Policaj do sklepu wstępuje,
Za kragel sofort tych hmotrów fasuje.

1, 2, 3, już siedzą we wasze,
To macie, wy sapramęccy pajtasze!
Jak się tam rano we wasze obudzili,
Sofort się karlusi za kark obłapili.
I Jantón ten padoł: „Luftbalón przeklęty.“
„Przebocz mi Hanysku i jo jest też przejęty
Hahor pierónski, jak jo mów co welbie,
To piera na śmierć! Jo nie moga za siebie.
Ale wiesz, jak jeszcze roz się zejndemy,
A se za czeski gozołki kupiemy,
To mów ma o gnoju, o jałowce krasiatej,
A s . . ł na luftbalón, co jedzie we światy.“



Bakan i miesięczek.

Mioł też roz masorz psa bardzo tłustego,
Bakan mu było, cóż kómu do tego.
Miesięczek fajniutko świecił roz w nocy,
A ric! nasz bakanek po zolytach se skoczy.
Jak se tak drabuje, ta marcha, niecnota,
Tu chlast! wroz po przyczka ulicy przykopa.
Nasz bakan se pado: „Ho, to jo waguja,
„A bez ten rynsztok hinüberzecuja.“
I — hop! dzisz ta owada, ón richtig też skoczył,
A wpod do przykopy i bardzo się zmoczył.
I wyložł z przykopy, od mrozu się chwieje,
I myśli, że z niego miesięczek się śmieje,
Prandziutko otrzepoł ta mokro se skóra,
A wzión na miesięczka przeżywać: „Potwora,
„Ty trómbo, ty giździe, ty nienadanino,
„Ty affo, ty strzympie, a wto wie, co ino!“
Miesięczek to słyszy, straszecznie lachuje,
Na mokrego bakana se z wierchu szałuje.
I ciągnie se dali na tej swojej banie,
A dopiero nie słucho na te kozanie.
My mu też nigdy: „Ty affo“ padómy,
„Miesięczkiem besztimt go benenujemy.“
A bakan, tyn srajta, niech ón tam hałasi,
Aż mu na końcu drzik życie wygasi.
Niech ón se te słowa na wdycki nauczy,
Niech nie pado „hop“ aż richtig przeskoczy.

Jak Wojtek do miasta na kiermasz idzie.

Dziś kiermasz w mieście jest nakozany,
Milióna kandego, ten bandzie trzymany,
Bo zboże latoś tak dojść się urodziło,
Pienędzy aż nadto. To rebelacyo.
Kobietko, warciuśko mi dowej śniodanie,
Bo musza do miasta, już czas na kozanie.
Jo zatem świętelne galoty obleka,
Pośniodóm i drabem do miasta ucieka.
Nowo sznuptychla; cha, jest w kapudroku!
Nie bańdzie kiermasza, jak ten w tem roku.
Baranka mom fajną i nowe są bóty,
Do budy lumps, bo byś mi zbabroł galoty.
Cygarra za piętok, być z Bogiem Marianna,
Już leca do miasta, do jutra zostana.
A Hanys, statków se, jo w mieście obocza,
Czy ci moga przynieść za czeski kołocza.
Jak zaszedł na górka, już widzioł miasteczko,
Hnet zajnda, tak padoł, bo nie jest daleczko.
Z kominów się smandzi, ci pieczę i ważą.
Pieczonka na kiermasz i szpyrki też skważą.
Jak skoro nasz Wojtek do miasta wstępował,
To ón taki duftek sofort pomiarkowoł.
Tak fajnie wuniało po całej ulicy,
Co ino ci pieczę, ci sapramętnicy.
Tu się wroz z hmotrem przed karczmą potkali
I jak najserdeczniej się zaroz witali.

Wstąpili do kaczmy i hmotr go częstował
 Na łobiot na dzisiok go też einładował.
 Jak se tak wypili gliwajnu, za czeski,
 Goźółki tej fajnej, zielonej niebieskiej.
 Nasz Wojtek pobożnie ón szoł do kościoła,
 Pón Bóczku, se padoł, toć mszo jest wesola.
 Na chwała Bozko na chórze śpiewają,
 Na skrzypkach, jarganach tak fajnie tam grają.
 Że aż uciecha tam być w tym kościele.
 Ci grają, śpiewają, jak kieby w wesele.
 A po mszy u hmotra się poczły gościny.
 Tam było co jeść, jak kieby w chrzciny.
 Mięso łowiązie z moczka i gruszkami,
 Z kszonym tak fajnym i też z ogórkami.
 Świńsko pieczonka i klóзки maszczóne,
 Harynków jo nie zjodł, mi były za słóne.
 Do picio goźółki i piwa i wina,
 Tam wszystkiego było. Toć fajno gościna.
 Joch wszystkiego nie jodł, co mi tam dowali,
 A czego jo nie zjodł, do sznuptychle mi tkali.
 Cobyh to wzion do dom, doł babie skosztować.
 Hmoterek, im padóm, tej bandzie smakować.
 Na rynku tych budów tak moc stawiali,
 Krzyżyki, obrozki tam w nich przedowali,
 Skalpierce, piszczołki i fajfki, co ino,
 Za tónie pieniądze się wszystko tam wzieno.
 Do karczmy my się też potem zabrali,
 Tam była muzyka, i tam tajncowali,
 Wrzeszczeli, ślepali chnet aż do północy,
 A potem się bili, ci djobli łajdocy.

Mój hmotr i w kaczmie mie požąd częstowoł,
Cygarów i piwa, coch chcioł to mi dowoł.
Jak jo już mioł dość, i jak się już ćmiło,
U hmotra się jeszcze po sznapsie wypilo,
I Wojtek ón padoł: „Wiesz, wieczór się wali,
„Dziękują żeście mie też einladowali,
„A jak moja cera się bandzie wydować,
To jo nie zapomnia wos też einladować.
A teroz sznuptychla z kołoczem wzión do ranki,
I drabym szło do dóm do moi Marianki.

Chłop i kukówka.

Dwa chłopi roz śli fest ożarci z jarmaku
A każdy mioł flaszką ze sznapsem we fraku.
Po dródze jak jeden tak drugi śpiewali,
Bo byli ożarci i sznaps przypijali.
W swej kabsie też mieli ciepło kiełbasa
I tak przygryzali. Wroz przyśli do lasa.
Cieplučko im było, bo było bez lato.
Cygary kużyli, bo mieli też nato.
Kapudrok zeblykli i tak w kamuzeli
Pod dambem ogrómnem se w cieniu leżeli.
Wroz woło kukówka na dambie: „Kukuk.“
Ci hłopi się zlekli i na jeden ruk
Wołali: „Kukówko, zaśpiewaj nóm jeszcze,
„Jak długo żyć banda tu na tym świecie!“

Kukówka też woła: „Kukuk, kukuk,
Kukuk, kukuk, kukuk, kukuk“,
„Dwanoście lot jeszcze, Milióna kandego“,
Wrzeszczy z radości jeden chłop do drugiego!
„Ty trómbo“, ten mówi, „dyć mie to geltuje.“
„Ja, psidrek“, ten pado, „to mie tak singuje!“
„Ty prandzy już umrzesz, bo zgnite moż pluca!“
„Ty, trzimej jeno pysk, bo jak kryka obróca,
To tak ci wyłotóm, że strzymypy polecą,
Że ci się te pluca na wieki przypieczą!“
„Ty biedo, ten mówi, jo psinco się boja,
Dyć piźni mie ino, dzisz ranka to moja!“
Jak skoro to pedzioł, już się tu chytają
Po pysku się pierą i fest się dropają.
Jak buchli na ziemia, to flaszki z gożółkóm
Sofort się roztrzaśły, a obóm łajdokóm,
Z tych flaszek sznapsowych te ostre szkorupy
Powłazły do nogów, do brzucha i d . . y!
Na fleku przestali. Gożółka się leje,
Kukówka z dambczoka się dziwo i śmieje.
Ci chłopci się wstydzą, lecz potem mówili:
„Dzisz, nasza gożółka my tak utracili,
Kiełbasy zgnięcióne, skrwawione są d . . y,
Osmól tam kukówka a pódź do chałupy!“

Tell i landrot.

W Szwajcaryi, w tem landzie, kaj takie są góry,
Co wyższe jak wieżo i stykną pod chmury,
A kto na nie wlezie, niech robi testament,
Bo jak by z nich zleciół, z nim ferbaj i lament.
Gómółki, te fajne, co nóm tak smakuja,
W Szwajcaryi, w tem landzie się ferfertigują.
Tam ludzie se żyli fajniutko bez króla,
A każdy se czynił, co jego jest wóla.
Lecz wróz tam, doli Bóg, to od regierunku
Dostali landrota bardzo złego gatunku.
Ón Gessler się zwoł, był taki zażarty,
Że, wto go nie słuchół, na fleku zawarty!
Szandarów se trzymół ogromnie ón wiela,
Co ino słuchali swojego befela.
Co miesiąc ón nowe podatki skazowół,
Pieniądze z tych ludzi, jak mógl erpresowół,
Kto nie mógl zapłacić, to ta kanalio
Boroka sofort doł na subhastacyo.
Ón se żył jak grof, po gościnach rajtowół,
Podatki przesmolil i fest se buntowół.
Ta bieda to ludzie dziś nie begraifuja,
Co ludzie pod takim landrotem lajduja.
Ci ludzie tam w nocy roz mieli grómada,
Dúrchaus chcieli zabić ta dziko łowada.
I gut. Tu wroz się zaś cosik przydało,
Co landrot zrobili, co też być nie miało.
On mycka na żerdka wysoko dał swadzić,
Ta mycka z tą żerdką zaś na wsi postawić.

A po wsi ze zwónkiem se chodził szandara,
A ludziom meldował ón tak, ta łogara:
„Ta mycka na żerdzi, ta jest od naszego
„Pana Gesslera, landrota wszechmocnego,
„A óni mi tak tu meldować kozali,
„Żebyście pańskiego befela słuchali!
„Kto idzie ferbaj, niech ta mycka pozdrowi,
„A przez to pokaże panu landrotowi,
„Że ón go chce słuchać jak ino ón może,
„A wszystko chce robić, co landrot mu każe!
„Jak bych jo tak grajfnył jednego łajdoka,
„Coby nie pozdrowił, to tego boroka
„Sofort móm fasować, sofort ferhaftować!“
„Ta rzecz ón se tam może überlegować!“
To befel jest twardy od tego Gesslera!
Jak czytać w tej książce od Pana Szilera.
W tej wsi żył chałupnik, a Tell był nazwany,
Od ludzi i baby i dzieci kochany.
Ón mieszkoł na górcie a piękny miół statek,
A jak ón miół geltag, zapłacił podatek,
Bo ón był bogaty. Lecz wiecie, też z niego
Był rajca ogromny. Się nie boł żodnego.
Ani djobła, landrota, ani szandary!
Ón se pił bajerskie i kurzył cigary
Po dwa piętoki, i w bilard se growoł.
Jak przyszedł rajzender, to czeski mu dowoł.
Roz ón szedł z gasthauzu, jednego miół welbie,
Jak ujżoł ta mycka, se mówi do siebie:
„A tu, co tu wisi za staro baranka:
„Ta nie wort dwa czeskie. Ta moja baranka,

„Kosztuje dwa twarde. Toć kłunker już stary,
 „To zaś powiesiły te głupie szandary!
 „Bo można się dali chroboki do tego
 „I dali wywiesić tu gizda starego!“
 Jak polnył w ta żerdka, się zaroz złomała,
 Ta mycka sofort do kałuże wleciała.
 Tu już z kanclaryje szandara drabuje
 A Tella sofort też za kragel fasuje!
 Lecz Tell mu doł w pysk, że postawił koziołka,
 Na fleku mu ciekła też z nosa posoka.
 Tu wroz Tella troje szandarów chytają,
 Na pukel mu rance powrozem wiązają,
 A już go też wiedą, do pana landrota,
 Lecz Tell się nie boi, ta śmiało niecnota.
 Jak landrot wroz Tella, gałgana erblikują,
 A od szandarów ten szpas fernemuja,
 Padali do niego: „Ty sapramancino,
 „To tak ty poradzisz rajcować, ty świnió?
 „Żeś ty moja mycka tak belajdigowoł,
 „A befel mój pański też nie ausfürowoł,
 „To jo ci ten szpas tu roz fest anstrajchuja!
 „Nie bój się ty, bo jo cię nie ferhaftuja;
 Dziwej się, na głowę Jantónia twojego
 „Te jabko tu włoża. Ty strzelniesz do niego,
 „A celuj fajniuško. Jak trefisz ferbaj
 „Abo synka zastrzelisz, to ty ajnc, cwaj, draj
 „Iść musisz do dziury; to ci nie pomoże,
 „Ani krejda święcona. Ty djobli hahorze!“
 Mój Boże, toć befel, ten landrot zażarty
 Mo serce jak kamień. Toć karlus jest twardy!

Jak ludzie to słyszą, sofort erblajchują.
Na Tella i synka z miłosierdziem szalują.
Ta pani landrotka za niego też prosi,
I lud na pocierze już rance podnosi!
Pón landrot kozali, Tell słuchać ich musi.
Jezusie, ten Gessler, ón djobła też kusi!
Jak landrot wroz swoim szandaróm kozali,
Żeby Jantonowi też ręce związali,
Ten syn zawrzesknył: „Jo frajnie se stoja
„A można, panoczku, ta próba obstoja!“
Nasz Tell, ón ta flinta już trzymo w swej gorści
I mówi od strachu i też od litości:
„Ferbaj, panie landrot, jo strzelić nie moga,
„Mie ręka się trzesie, dyć widzą i noga!“
Lecz Jantón zawołał: „Tatulku, celujcie
„A smólcie landrota; się ino nie bójcie.
„Dyć lepi, że jo na fleku sterbuja
„A wos od tej strofy na grund erlösują!“
Wroz „puch“ podł szuss. Pón Bóczku kochany,
Ten Jantón on żyje, ten był celowany!
Jabłuszko w dwa tajle mu z głowy zleciało.
Milion, toć szusek, ten Tell strzelił śmiało!
Tatulek ze synkiem za kark się chytają
I płaczą z radości, i fest się ściskają.
Ta pani landrotka tako miała uciecha,
Że skokła z radości, doli Bóg pod strzecha.
Szandarzi ci stoją z radości jak trupy,
A ludzie wylatują wroz z każdej chałupy
I wrzeszczą, skokają, i fest się radują,
I Tella i synka goźółkom częstują.

A landrot padali: „Wiesz, tyś jest mamuna,
Lecz na co ty trzymasz ta drugo patróna?“
„Ta drugo patróna, co jo tu móm w gości
Jest narychtowano dlo naszej Waszności,
Landrota Gesslera, straszneho tyrana,
Hundswota, łajdoka, świntucha, gałgana.
Bo kieby jo synka Jantónia mojego
Był dzisiok zastrzelił, to zaroz na niego
Ta flinta ladują i strzelna w bachory,
Że djobli go wezną i wszystkie potwory!“
Jak Gessler to słyszoł, on padoł: „Najduchu,
„Toś taki ty raubszyc, ty djobli świntuchu?
Szandarzi, na fleku, już mi go fasujcie,
A do herestu zaroz go abfürujcie
A dejcie mi pozór i mu anlegujcie
Lajncuchy te wielkie a ino futrujcie
Go chlebem i wodą, gałgana hundswota,
Bo ón chcioł zastrzelić, mie, pana landrota!“
Ci ludzie ci płaczą i wrzeszczą „Mój Boże,
Cóż też zaś ten landrot szandaróm tu koże.“
A synek, ten Jantón, on podł na kolana
I płacze i prosi landrota i pana.
Lecz landrot się trzesie od strachu i złości
On Tella na wieki z herestu nie puści.
Z tatulkiem jest ferbaj, mój drogi Jantónku,
Bo landrot to farón jest złego gatunku!
Szandara go już na powrózku tak wiedzie,
Jak kieby prosiatko na jarmak się wiedzie!
Lecz Tell to był mocny, się nie boł żodnego,
Szandarów się mógło dać 8 na niego,
To ón się ich nie boł, wszystkim wywalił.

Jak dmuchnył na chłopą sofort się obalił. —
Tak przyśli do lasa wielkiego, ci dwa,
Tell i szandara. Już było ćma.
Jak Tell tu wroz dopodł dambczoka rubego
Do ranki i szmarnył szandary, to z niego
Wylazły bachory i ślypska na fleku
I umarł szandara. Coś zrobił, człeku!
Tell uciek do lasa. On endlich jest frajny
I jest wybawiony od strachu i wojny.
Jak Gessler to słyszoł, ón prawie stoł w sieni,
To krempfy od strachu na fleku go wzieny.
Jezusie Maryo, co się też tu stanie,
Ten Tell to jest farón, to bandzie szukanie.
W cajtungach, w amtsblatach oni Tella szukali,
Stekbrify, kaj mogli, to za nim posłali.
Lecz Tell siedziół w lesie hnet można dwie lata
A znojsć go nie mógli, ferbaj, pana brata.
Nasz Gessler, ón nikaj się nie rozweselił.
Bo strachu ón miół, żeby Tell go zastrzelił
Nie ró b se ty szpasu, z tym Tellym, hundswotem,
Jak ón cie dopadnie, to „aus“ jest z landrotem,
Roz też za dwie lata z gościny rajtuja
Pon landrot z leibjägrem a nic nie miarkuja,
Że Tell już czatuje dziś na pana brata,
Landrota chce zgładzić durchaus z tego świata.
Tak przyśli do lasa, o tej gościnie
Se tak rozprawiają i o dobrem winie.
Nasz Tell ón za takim świerczokiem już czeko
I słyszy Gesslera ozprawiać z daleka.
Sofort też ta flinta postami laduje,
Na pana landrota już kokot szpanuje

I mówi: „Landrocie, rób wartko testament,
Bo z tobą jest ferbaj, bo z tobą dziś Amen!“
Tu rajtuje ferbaj, Tell strzyło na niego
I strzelił go w łeb. Już Gessler z swojego
Brónoka spada i wrzeszczy i pado:
„To Tellów Gessoss, o ty djoblo łowado!“
Posoka się z nosa i uszów mu leje,
Laibjäger ucieko i wrzeszczy: „Ojeje!“
Kalupem do pani landrotki rajtuje,
Biolučki od strachu i wszystko melduje.
Nasz Tell idzie do wsi i idzie se śmiało.
Bo landrot zabity, tak stać się musiało.
Jak wloz do chałupy, go już erblikują.
Swój Hanys i Jantón, i fest go całują.
Ta jego Marianna ta pado z radości:
„Zabiłeś landrota, to nie do możności?
Jezusie, ty chłopie, cóż teroz się stanie!“
„Nie bój się“, Tell pado, „ten na wieki nie wstanie!“
Wieśniocy też przyśli i chcą widzieć tego,
Co zabił Gesslera, tyrana straszniego.
Tell wyłozł z hałupy na próg się postawił
I ludzióm melduje, że ón ich wybawił.
Ci ludzie ci mówią wroz wszyscy w grómadzie,
By żoden na pogrzyb nie szedł tej łowadzie.
Milliona, w gasthauzie, tam jest pijatyka,
A tam za szenkfasem żnie muzyka.
Tam pili gożółki zielónej, niebieskiej,
A każdy doł wypić Tellowi za czeski.
Ci ludzie w tej kaczmie się tak radowali,
Że Tella za fojta sofort wälowali.

Ten Sanger (od Goethego.)

Roz teŹ w downych czasach to Źył w jednym
landzie

Król bardzo bogaty. Hnet prowda nie bandzie.

Ten król to był karlus, był sapramancina,

Dwa razy bez tydzień on trzymał gościna.

Lajtmontów, pryncesów on moc pozaproził,

Z piwnicy i kuchni, co miał to wynosił

A wszystkich częstował. Co ino ci hcieli

Do picio, ślepanio, to wszystko tam mieli.

Faruna, wurstlików fajniutkich, pieczonki,

Harynków po czeskim i nawet smarzonki,

Tam było, jo myślał Źe stół się rozwali.

A ci lajtmontowie na bankrot ślepali

Bajerskie i wino. Co ino tam było,

Z piwnicy królewskiej się wszystko to wzięło,

Bo wiesz taki lajtmund to on do ślepanio,

Przyleci z daleka, i choć bez wołanio.

Jak się tak pożarli, to król miał uciecha,

Z radości on skoknył niekiedy pod strzecha,

A ślepoł se z nimi, bo wiecie, teŹ z niego

Był slywacz ogromny. On se do swego

Behra trzi kworty mocnego wloł wina

A na roz wyslepoł. To abo gadzina.

W tem landzie Źył chłop, co był bardzo ubogi,

On stracił we wojnie połowa swej nogi.

Hoć dostał, jak kaŹdy, po wojnie medalio,

Cóż on miał z tego? Ta jego penzyjo

Tak było malućko.

Jak ón se z penzyi tak dojść uszporował,
To ón se lajerka sofort anszaflował.
Na plecach ją smyczy, po landzie rajzował
A po wsiach i miastach ón śpiewał i grował
Roz zaszed przed zómek i mówi do siebie:
„Piernika, jak król dziś zaś cosik mo wełbie,
„To jo tu utarża choć abo 5 Marek,
„Przed tygodniem to jo zebroł talarek.
„Ach, kieby tu dziś zaś być hciała gościna!“
Ón richtig też zgodnył, ta sapramancina.
Jak zaczon lajrować i śpiewać do tego,
Tak śpiewał jak djobli. Miliona kandego,
Pryncese warciutko też okna otwierają,
A na muzykanta sznuptychlą kiwają.
Jak król go usłyszoł, on padoł: „faróna“,
„Ten śpiewać poradzi, to abo mamuna!“
Wyłyknył se sznapslik a tak się radowoł,
Że swoim labjegróm na fleku rozkozoł:
„Wy, chłopcy, warciutko drabujcie przed wrota
„A przysmyczcie mi lajermana, hundswota!“
Lajbjegrzi ten befel sofort ausfürują
A już z lajermanem do salu tretują.
Lajtmunci, pryncese ci tak tańcowali
W tem salu królewskim, nogami tómpali
Lajermón lajrował z calućkiej swej siły,
Że aż się zadyszył. Hnet krempfy go wzieny.
Królewno w tych szatach jedwobnych śpiewała,
Z tym jednym lajtmuntem se tak wykrzikała,
A król, ten tańcował jak kieby o weta,
Tu wroz dobył z kabsy też złoto urketa

A szmarnył z nią hłopa i z radości pado:
„To moż za muzyka, ty djoblo łowado!”
Lajermón ją podniós, i padoł: „Waszności,
„Niech raczą przeboczyć też z wielkiej miłości!
„Cóż mie po urkecie, kiej zegarek brakuje,
„Ten geszenk, ón dlomnie durchaus nie pasuje.
„Ta keta to dejcie lajtmuntowi jakiemu,
„Co z cerą się żyni, a jeszcze ku temu
„Zegarek ze złota, lecz jo to ich prosza
„O stare galoty! Te moje, co nosza
„Już są potargane, a jedna berlinka
„Ze sznapsem bych prosił, abo też tego winka!”
Lajtmunci to słyszą, straszecznie lachują,
Pryncese na niego ze śmiechem blikują,
A król był by zleciół od śmiechu hnet z stołka
A trzymoł se brzuch i padół do boroka:
„To więcej doprowdy ty nie ferlangujesz?
„Nie bój się, ty wszystko sofort erhaltujesz!”
I graifli do kabsy po marka i „nancie,”
„Na noclyg“, padali „wy djobli miglancie!”
Bedinter wroz ancug nowučki bringuje,
Lajermón go sofort do sznuptychle pakuje.
Gożółka se wypił i padoł: „Dziękuja,
„Za tydzień to jo się tu zaś ainfinduja
„Erhaltuj ich zdrowo,” tak Boga ón prosi,
I dudy na plecach, się ze salu wynosi!

A25009

I



Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000553347



I 135008

Pracownia Śląska

